



Ja też tak myślałem... Kiedyś, dawno temu. Że jak zacznę wierzyć w Pana Boga, że jak zrobię mu przyjemność i będę przestrzegał przykazania, że jak najważniejsze silniki uruchomię, które zowią sercem, rozumem, ciałem - to wszystko się ułoży, będzie pięknie, Najwyższy wynagrodzi, pobłogosławi, a banan nie zniknie z moich ust. Że jak zostanę księdzem zakonnym, będę po falach chodził, cudowne połowy ryb fundował chłopom na Mazurach. Nic z tego. Pan Bóg postanowił obsypać mnie innymi prezentami. Zaczął mi tyle dawać, że jak by było jeszcze więcej, szło by zwariować. Zanim wstąpiłem do zakonu - byłem bogatym młodzieńcem. Tym ewangelicznym, który od czasu do czasu pokręcił się przy Chrystusie. Nie miałem kasy, ale na brak bogactwa doświadczeń wyższych i niższych, hedonistycznych i anielskich, narzekać nie mogłem... A On któregoś dnia powtórzył historyjkę z Abrahamem. Jak zawsze. Powiedział: wyjdź z tej swojej dziupli, pójdz za Mną. Opierałem się długo. Miałem bowiem wiele z bogactwa tego świata. I liczyłem, że będę miał jeszcze więcej...

Odchodziłem wiele razy, jak bogaty młodzieniec z Ewangelii i zawsze smutny. Rzucałem się w wir świata, ulegałem wszystkiemu co popadnie. Seks, alkohol, fajki, narkotyki, zabawa. Pożądałem. Chciałem. Konsumowałem. Byleby zagłuszyć pragnienie. A Jezus we mnie umierał, na krzyżu wisiał i powtarzał: "Pragnę...". "Gadaj se - myślałem - pragnij ile wejdzie, a mnie zostaw w spokoju. Chodzę do Kościoła, służę Ci przy ołtarzu, rączki składam, modłę się. Jestem katolem. I co - mało? Niczego więcej nie dostaniesz, niech tyle wystarczy...".

A potem przyszedł powiew delikatnego wiatru. Nie, ziemia nie zadrżała, krzew się nie zapalił, morze się nie rozstąpiło. W pokoju dziekana Wydziału Nauk Humanistycznych - powiedziałem prawdę. Tak po prostu, inni zakombinowali, a ja powiedziałem prawdę - i mnie na zbity pysk ze studiów wywalili. I z tym zbitym pyskiem poszedłem do Pana Boga. Żeby było śmieszniej i od Niego dostałem w pysk - bo mi raptownie pokazał, jakim jestem zakłamanym chłoptasiem, Kiedy się już podniosłem (a łatwo nie było) poczułem nagle, jakie to szczęście - czegoś pragnąć, a nie tylko - chcieć, czy pożądać... Zapragnąłem zatem całą obitą gębą. I sercem, które biło jak dawniej, choć już nie w takt muzyczki wygrywanej przez demony, ale w ciszy, wypełnionej subtelnymi dźwiękami niebiańskiej symfonii. Cóż mi ona dawała? Ano odwagę! I stopy gotowe zdeptać węża lęku i paranoicznego wręcz strachu przed tym, co może się stać... gdy raz jeden - po długim czasie adoracji własnego "ego" - człowiek zasmakuje wreszcie prawdziwej wolności. To znaczy pojmie, że nie sam wybór się liczy, ale to - co się robi z owocami wyboru, niosąc je do Boga...

Potem było już tylko gorzej. To znaczy - "gorzej" według norm i kryteriów zniewolonej sobą i iluzjami masy, w której czułem się jak ryba, choć "pragnienie" cisnęło. Pan Bóg ma poczucie humoru, w tym sensie, że miłosierny jest aż nadto, ale z sentymentami już słabiej. Ech, jak nas to czasami irytuje. No więc skończyły się klimaty telenoweli. Rozpętał się horror. Szybko uniesienie rozeszło się po młodych, prześwietlonych światłem z góry - kościach. Pognał mnie Pan na pustynię. Nazywają to w naszym Kościele - zakonnym nowicjatem. Ech, co się człowiek nacierpiał i natrudził. Co się nasłuchał zanim tam poszedł i gdy już tam był (i o dziwo od wielu bogobojnych potomków Adama i Ewy): "stary, sfiksowałeś / synu - a potomstwo, a nazwisko Sorkowiczów / Mieciu (tak na mnie wołali) a kobitki, a żona, a dzieci - uschnie ci (żeby nie było - cytuję)"... Wysłuchałem mnóstwo lamentacji. Nie usechł i ja nie uschłem, choć czułem się jak Hiob, przeorany przez Boga. Ale też serce mi podpowiadało, że zanim ziemia wyda owoc, trza ją ostro przeorać. I Bóg orał. Ojciec Pio zwykł mawiać: "że w nowicjacie trzeba zniszczyć pychę młodych, tak by spokornieli". Szczerze - chyba się to moim przełożonym udało. Pychę niszczyli na każdym kroku, czy spokorniałem, nie mnie to oceniać.

Wyszedłem z dziupli (ze swojej milutkiej ziemi...), poszedłem za Nim, jak pragnąłem, zostałem zakonnikiem i księdzem. Czy coś straciłem? Kurczę, nie mam zielonego pojęcia, wiem natomiast, że mega dużo otrzymałem i wciąż otrzymuję. Nie znoszę, jak księża opowiadając o

swoim powołaniu, zaczynają od długiej listy tego, co stracili. Mam wtedy wrażenie, że to głupiego gadanie. Ja tam wolę opowiadać o tym, co mi Pan dał. I jest tak, jak mówił - stokroć tyle otrzymacie. Co się kryje w tym "stokroć"? Dużo... Gdyby tak zacząć wyliczać - wszystkie księgi świata by tego nie pomieściły. No więc jest cudownie, w gębę dalej dostaję, na zbity pysk też czasami wyrzuca, raz cię palemkami obsypia: "o jaki fajny ksiądz", innym razem ukrzyżują, ręce umyją, inteligentnie oplują. Dla mnie bomba. Moc w słabości się doskonali. Ale jak się już człowiek zawezmie, jak się na nich wszystkich z miłością spojrz i wykrzyczy do Nieba: "Boże, przebac im, bo nie wiedzą, co czynią" - to potem i na lekkość zmartwychwstania ma się ochotę. Bo najcudowniejsze w życiu księdza jest to szczęście, gdy widzi księżulek - jak Pan Bóg z głupców ludzi mądrych robi, jak z pysznych tworzy pokorne bestie, jak chorych w zdrowych przerabia, jak smutnych w radosnych przemienia. A ja Mu dam tu łapkę, tam łapkę - tu chwycę w dłonie Jego Ciało (bo mówił: "wy dajcie im jeść") to daję, jak robię w konfesjonale znak krzyża (bo przecież prosił: "odpuszczajcie grzechy") no to łapka w ruch i rozgrzeszenie... I jak tak to wszystko się dzieje i On tym chłopiskiem w sutannie czy habicie - wciąż się posługuje - to człowiekowi chce się skakać z radości do góry, choć Pan Bóg potrafi szybko na ziemię sprowadzić... Bo też ile to można taborować na szczytach? Chłop jest do roboty, więc dalej - na dół, w doliny i depresje, niech się te słabości w mocy Pańskiej doskonala. I chyba tego najbardziej się dzisiaj chłopaki boją, choć słyszą głos powołania...

/Mała dygresja: Boją się roboty i walki. Że stracą wiele i diabeł im tak podpowiada: "no gdzie, na księdza? zakonnika? Włącz pornusa, popatrz, to wszystko ci tamten w górze zabierze... Nałóż słuchawki na uszy, o... słyszysz rytm, czujesz?... w seminarium takich bitów nie ma... Siadaj przed komputerkiem /e tam... matka, pokrzyczy, pomarudzi, śmieci nie uciekną, - wywalisz potem, książka też, matura to bzdura, teraz se zagraj na gierce, stary w seminarium tylko książki i robota/, jednym słowem - beton...". No i chłoptasie słuchają posłusznie, bo też każdy mądry w tym kosmosie wie, że praca wzbogaca, ale ciałku też się coś należy. Wiem, co piszę, bo to przeszedłem. Chłoptasie najczęściej kapitulują. A szkoda. Pan Bóg nie czaruje. Zero reklamy i białych zębów. "Pomiędzy wilki was pošlę, krzyż będziecie nieść, odrzuca was, wyśmieją... Ale dam wam broń, swojego Ducha, będziecie walczyć... dam wam Niebo". Jednym słowem: pot, łzy i krew. No więcej, niż jednym. Na pierwszy rzut oka - mało atrakcyjnie. Ale jak się rzuci drugim - to serce pęka. Tylko jak się ma oczy ślepe - od tępego gapienia się w lustro i monitory... to cóż można zobaczyć? A Pan mówi: "chodźcie i zobaczcie...". Poszli... i zobaczyli na własne oczy.../

Kocham cię osiołku...

Wpisany przez TOMASZ32-VAD
niedziela, 03 listopada 2013 03:00 -

A że chłop musi dostać w kość, by chodził jak zegarek, no to Pan Bóg mu umiła życie. Żony nie mam, nie ma kto marudzić, krzyczeć i poganiać - no to jest Pan Bóg, a On zmobilizować potrafi, jak nikt inny. No więc dostaję dużo, walczę jak lew, czasami jak Dawid z Goliatem... a nagrodą największą pozostaję sam Chrystus, którego codziennie trzymam w dłoniach. Trzymam Go i wciąż słyszę: "Pragnę...". Głupio mi i wstyd, szepczę: "nie jestem godzien Cię nieść, Panie"... a On mi powiada: "kocham cię osiołku (babcia czasami mawiała, że chłopcy to osły... więc może dlatego...) i pamiętaj: mnóstwo dusz czeka, które trzeba na twoim grzbiecie do Nieba zawieść"... No to masz Panie, mój grzbiet i swojego osiołka. Szczęśliwego osiołka, któremu wiele dajesz, ale od którego więcej wymagać nie przestaniesz. I chwała Ci za to. Bo prawdziwy mężczyzna tylko wtedy odnosi zwycięstwo, gdy nauczy się służyć... i walczyć do końca. Może dlatego posyłasz księży wciąż i na nowo, między wilki. Posyłaj. "Żeby nam się w tyłkach nie poprzewracało".... (to też cytata, tym razem pani Basi)... Amen...

AUTOR: **Ks. Rafał J. Sorkowicz SChr**

ŹRÓDŁO: <http://www.sorkovitz.blogspot.com>